

Gorki przenicowany: nowy spektakl Krystiana Lupa

Reality

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

■ W „Mistrzu i Małgorzacie”, w scenie w domu literatów Krystian Lupa dał sygnał znużenia doskonałością, do jakiej dąży sztuka. Rozpuścił teatralne wiązania, ujawniając głęboką niemożność budowania całkowitego świata. W nowym przedstawieniu „Azyl”, opartym na sztuce Gorkiego „Na dnie”, demontaż posuwa się dalej, w stronę przez blokiersów nazywaną „distroj”.

Reżyser, który zaczynał od hybrydycznych i niejasnych poszukiwań, stopniowo oczyszczał swój teatralny język, konsekwentnie budował własną poetykę nadając jej z czasem znamiona regularności, może nawet powtarzalności. Wyrażając często niechęć do wirtuozerii jako pustej umiejętności pozbawionej istotnych walorów duchowych (jakże bliski jest tu Lupa poglądom Bernharda zawartym w „Przegranym”), reżyser przystąpił w końcu do demontażu własnego języka. Zgłosił wielkie wotum nieufności wobec gładko toczonych opowieści, historii mających wedle szkolnych reguł wstęp, rozwinięcie i zakończenie.



FOT. ANNA LOS

„Azyl”, reż. Krystian Lupa. Na zdjęciu od lewej: Miłogost Reczek, Paweł Miśkiewicz, Wojciech Ziemiański, Marcin Czarnik, Zofia Bajno.

Wykolejenie

„Destrukcyjny proces, który toczy się w ukryciu. Jak tylko powinie nam się noga i stracimy codzienny kontakt z porządkiem naszego życia, okazuje się, że w środku następuje eksplozja i że jej początki były w nas od dawna. W ciągu jednego dnia możemy się przeistoczyć i stracić swój wewnętrzny spokój, wewnętrzny ład, wewnętrzną harmonię. Mechanizmy porządkujące nasze życie współcześnie są wyśrubowane nienaturalnie, tak jak w sporcie” – cytuję wypowiedź Lupy pomieszczonej w programie. Temat upadku, wykolejenia, zaburzenia osiągniętej stateczności, utraty statusu, czy jak to jeszcze nazwać, staje się jedną z najważniejszych spraw, która stopniowo przenika z podświadomego do świadomego.

Bezdomność, czy nawet zmenelenie, oznaczające rodzaj śmierci cywilnej, mogą każdemu przytrafić się gwałtownie i równie niespodziewanie, co śmierć biologiczna. Jeszcze wczoraj był „normalnym” człowiekiem, a teraz spotykamy go na dworcu. O tym jest przecież najnowsza powieść Stefana Chwina „Złoty pelikan”, o upadku pewnego dobrze prosperującego profesjonalnego intelektualisty. Tyle że Chwin utopił swoją historię w manierycznej literaturze, w nadmiernej wirtuozerii i przegadaniu.

Lupa wyjął z dramatu Gorkiego czyste przypadki, opisane z właściwym dramatopisarstwu koniecznym skondensowaniem, co zaowocowało ostrością widzenia nowej choroby społecznej, jaką jest bezdomność i lęk przed nią. Dodajmy od razu, że Lupa przenicował tekst Gorkiego (stąd między innymi zmiana tytułu na „Azyl”, by uniknąć zbędnej dyskusji o wierności autorowi) i niebywale go zatemperował, odsuwając całą ckliwość, jaką może przynieść rozczulanie się nad azylantami. Często posuwa się do gry przeciwko tekstowi, interpretowania go z ironicznym dystansem, który wywraca wzniosłość tyrad i rozważań o godności człowieka.

Przestrzeń brzydoty

Kiedy podnosi się żelazna kurtyna, na scenie widać wnętrze przytulku-noclegowni. Bardzo zaskakujące, jak na teatr Lupy, zagęszczenie przedmiotów. Właściwie nie ma jak oddychać wśród gęsto poustawianych żelaznych łóżek piętrowych. Jedyne wysoko w górze można trochę odetchnąć. Nie ma żadnej centralnej przestrzeni gry. Rzędy łóżek i coś, co reżyser nazywa wyspą – sterta usypana z powiązanych w paczki kartonów, jakichś worków pełnych szmat, starych gratów. Wyspa zajmuje prawie połowę przestrzeni. Nie wiadomo, czy to skarby bezdomnych zgromadzone przez lata, czy coś, co zostało po tym, co tu było przedtem, choć nikt nie wie, co to takiego mogło być.

Scenę otaczają brudne ściany z powybijanymi oknami. Z lewej drzwi prowadzące

do kuchni i królestwa Wasilisy (z charakterystycznym więziennym wizjerem), z prawej schody prowadzące do miasta, a pod nimi komórka, w której Piepieł spółkuje z Wasilisą, wytapetowana tandetnymi obrazkami z tak zwanymi „gołymi babami”. Ta odpychająca zagracona przestrzeń jest po prostu brzydka. I to nie piękną brzydotą, którą Lupa umie wspaniale planować, pokrywając choćby ściany malowniczymi liśzajami, a okna „poetyckim” kurzem. To jest brzydkie i takie ma być. Nie mamy czerpać żadnej estetycznej satysfakcji z oglądania wnętrza azylu. To ma być miejsce przykre i męczące.

Inna rzeczywistość

Na początku spektaklu perspektywa zbieżna, do której przywykliśmy, ulega zakłóceniu. Akcja dzieje się w kilku miejscach jednocześnie. Nie można jej ogarnąć w całości, co powoduje dość szczególne poczucie irytacji i obojętnej. Bardzo wolno wchodzimy w ten „Azyl”.

Wydaje mi się, że na początku dużą trudność mają także aktorzy, którzy zostali postawieni przed nieładną trudnością: zakotwiczyć się w azylu, który musi pozostać miejscem nie do zaakceptowania. Od razu na początku dostajemy też silny znak świadczący o tym, że mamy do czynienia ze specjalnym rodzajem rzeczywistości. Aktor (Miłogost Reczek) wylazi ze swojego brudnego posłania w rozpiętej koszuli i skarpetkach, ale bez spodni i majtek. Biega z obnażonym członkiem wywołując zażenowanie widzów, wypina nawet na widzów tyłek. Jakieś to za realne, nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni, czujemy się tak, jak na dworcu, kiedy patrzymy na upodlonych bezdomnych i ich odpychającą, napawającą lękiem egzystencję: ciało, które staje się mięsem, emocje i awantury z łatwością klasyfikowane jako patologiczne.

Mamy przed sobą *reality*, ale nie taką, jak w telewizyjnych paskudztwach, w których podglądamy ludzi próżnych, gotowych zrobić ze sobą wszystko, byle tylko zostać zauważonym, sławnym. Tu jest *reality* bliższa interwencyjnym programom reporterskim, ale pozbawiona pornografii ludzkiego nieszczęścia, którą nasycają widzów sprawy dla reportera. A ponieważ to jest *reality*, ma swoje prawa, które ostentacyjnie mają odróżnić ją od teatru: dzikość, nieprzewidywalność, chaotyczność i brak uporządkowania zmierzającego w sposób planowy do kulminacji i potem finału.

Od początku mocno rysowana jest różnica między mieszkańcami taniej noclegowni i ludźmi z zewnątrz. Spoza tego świata jest Kwaznia (Bożena Baranowska), wystrojona w zgodzie z mieszczańskimi normami. Powierzchniowo serdeczna, próbuje zmuszać się do okazania sympatii biednym ludziom, bo tak pewnie o nich myśli ta dobra pani. Podobnie z Wasilisą (Halina Rasiakówna), tyle że ta nienawidzi całego tego chłamu, z którego zresztą żyje. Wasilisa jest wściekła, wchodząc na scenę zapala długie

go papierosa, jakby chciała dymem oddzielić się od nędzy. Zachowuje się wyzywająco, podkreślając, że jej ciało jest lepsze od ich mięsa. I tylko jedna niekonsekwencja wciąga ją w azylowy świat: kochanek, czyli Piepieł (Krzysztof Dracz). Z niego emanuje zwierzęca siła, której nie ma wcale stary i ohydny mąż, Kostylew (Zygmunt Białowski). Romans Wasilisy sprawia, że skrzywdzeni i ponizeni mają szansę na osobliwe zwycięstwo, które odniosą w spektaklu Lupy.

Jak to zwycięstwo? Pamiętamy przecież, że sztuka Gorkiego jest bezgranicznie depresyjna, przyprawiona nieco drętym filozofowaniem na temat godności człowieka i roli prawdy w jego życiu. Kończy się po Czechowowsku niespodziewanym samobójstwem Aktora, który nie sprostał decyzji o alkoholowym odwyku. I u Lupy samobójstwo aktora jest, świetnie zainscenizowane. Aktor sam wychyla się z okna, jak otwierające się skrzydło okna, i sam wypowiada kwestię „Aktor... powiesił się!”. Co więc powoduje, że w tym świecie możliwa jest nadzieja?

Koniec naszego świata

Lupa prowadzi spektakl ostro, ale powściągliwie, aż do momentu śmierci Anny (Dominika Figurska), która zadreżca swoim umiarem mieszkańców azylu. W tej inscenizacji nie wprowadza jednak patetycznych czy tragicznych brzmień. To umiarnie jest czysto fizjologiczne, nie do zniesienia. Nie ma już szansy na to, by w nowej *reality* ta śmierć obudziła czyjeś sumienie. Dlatego spektakl nabiera zupełnie nowego tonu, kiedy łóżko Anny wreszcie opustoszeje.

Teraz zaczyna się część, w której miejsce na wszystkie romansowe zmyślenia Nastii (Zofia Bajno) i utopijne dążenia Łuki (Henryk Niebudek). Nad sceną unosi się rzęsne „Besame mucio”, po scenie snuje się teatralny dym, a bohaterowie skupieni na wyspie, tej usypanej ze śmieci i kartonów, dryfują w chmurach. Mają nawet, nie wiadomo zresztą dlaczego, małą sztuczną choinkę obwieszoną jakimś lśniącym badziewiem. Ale to nie marzenia, tęsknoty czy zmyślenia ratują azylantów. Nie, tak naprawdę ratunek przynosi ironia, pozwalająca zdystansować się do własnego losu.

Motorem ironii jest Satin (Paweł Miśkiewicz). Król życia na śmietniku, leniwy, pyszny, strojny w kolorowe szmaty, Satin przekroczył granicę nieszczęścia. Dla niego azyl jest prawdziwym schronieniem, dającym szczęście płynące z nihilistycznej pogardy dla człowieka. Lupa bezlitośnie rozprawia się z poważnymi tekstami Gorkiego, które Satin wypuszcza z siebie od niechcenia, razem z dymem fajki, w której przypala trawę. Te sławne tyrały, szkolne „człowiek to brzmi dumnie”, pelżają po scenie jak jaszczurki bełkotu. Satin nie żyje w *reality*, jest już poza tym. I śpiewa, intonuje pieśni, które podchwytują wszyscy azylanci, nabierając dystansu do swojej sytuacji, zdolni przez chwilę zachować się tak, jakby grali w spektaklu o biednych i nieszczęśliwych, patrzą z oddalenia na własny los.

Ale przecież nie ma w tym spektaklu żadnej obietnicy metafizycznej, która zawsze wieńczyła spektakle Lupy. Tym razem na pytanie umierającej Anny: „A tam, jak będzie?” nie ma żadnej odpowiedzi. Ciężar poszukiwań przesunął się gdzie indziej. Transgresja dokonuje się, jak powiedzieli by dyskutanci z czata, w realu. Polega na przyjęciu rozkładu i chaosu jako stanu najlepszego dla człowieka. Azyl ze swym bra-

kiem norm i reguł, gdzie właścicielka okazuje się najstraszniejszą osobą i katuje bez przerwy swoją siostrę Nataszę (Ewa Skibińska), a alkoholicy mają swoje niezłomne zasady, jest miejscem nieuchronnego końca naszego świata.

Dość szybko orientujemy się, że to nie wykolejenci i nędzarze mieszkają w azylu. To my wszyscy tam jesteśmy, niczym bowiem nie różnimy się od mieszkańców przytulku, tylko tym, że na razie mamy jeszcze trochę pieniędzy i wiarę w porządek, nie wiadomo na czym ufundowaną. Ale tak naprawdę już jesteśmy tam, w azylu. Ubrani w tandetne szmaty, połyskliwie elegancy, krzykliwi w śmietnikowym guście. Nasz świat się rozpadł, siedzimy na kartonach, tylko wciąż nie chcemy tego przyznać i udajemy nasze życie twierdząc, że między początkiem i końcem ma ono jakiś przebieg logiczny, konstruowany, a co więcej, oparty na rozwoju. Myślałby kto.

Karnawał w azylu

W ostatniej części spektaklu sytuacja w azylu nabiera charakteru karnawałowego. Wszystkie normy zostały odwrócone i zaprzeczone. Najpierw jest projekcja filmowa wyświetlona na opuszczonej żelaznej kurtynie; oglądamy demolowanie azylu przez jego mieszkańców. „Besame mucio” nabiera cech szaleńczego pogo. Kiedy kurtyna się otworzy, zobaczymy już azyl zdemolowany, jakby demolka takiego miejsca była w ogóle możliwa.

Azylanci bawią się. Bubnow zamieniony przez Lupę na Bubinę (Krzysztofa Dubielówna) postanowił rozpić się i wszystkim stawia wódkę. Satin drwiąc czyni z filozofii brednię. Tatar (Wojciech Mecwaldowski) modli się na islamskim dywaniku. Jest narkotycznie i bezsensownie multikulturalnie. Porządku, nawet tego lichego, na miarę azylu, już się nie da przywrócić.

Nastka ucieka komicznie przed Baronem (Wojciech Ziemiański). Pijackie harce stają się groteskowe. Dopiero straszny krzyk Nastki, z głębi sceny „Wilki!!!” przywraca na moment grozę sytuacji. Potem samobójstwo aktora. Pora na pieśń, by jeszcze raz uciec od *reality*, a raczej jeszcze raz bez nadziei w niej się pograć: „Słońce wschodzi i zachodzi, a w mej duszy (u Gorkiego „w celi”) ciemny mrok...”. Śpiewając na scenie gromadzą się wszyscy bohaterowie spektaklu, pieśń przechodzi w ukłony. *Reality* zagarnęła oklaski, ostatni bastion teatralności.

„Azyl” uświadamia nam, jak nędzne jest nasze przywiązanie do materialnych gwarantów naszego istnienia i statusu. W świetnie dobranych kostiumach (Piotr Skiba debiutujący w roli kostiumografa) widać całą żalostność blichtru mody. Te wszystkie śliczne lśniące kurtki czy artystowskie kaftany, złote leginsy i sztuczne futerka, wyjęte ze śmietników, są pomnikiem materialnej nędzy. Teatr zdemontowany przez Lupę, pogrążający się w chaosie (gdyby ktoś wątpił, uściłam, że w pełni artystycznie kontrolowanym) ma niezwykle i zaskakujący walor. Nie pozwala się sklasyfikować, a przez to staje się dotkliwy, znowu zaburza nawyki percepcyjne, których Lupa nauczył swoich widzów. Teraz mistrz, który nie chce być mistrzem, każe zmierzyć się z nową *reality*, wywołując w publiczności pomieszanie i przesilenie, teatralny distroj.

„AZYL” według „Na dnie” Maksyma Gorkiego. Opracowanie tekstu, reżyseria i scenografia: KRYSZTOF LUPA, kostiumy: Piotr Skiba, muzyka: Jacek Ostaszewski, premiera w Teatrze Polskim we Wrocławiu 24 stycznia 2003.